

Szanowni Państwo,

Pozwalam sobie też zabrać głos w rzeczonyj dyskusji.

### **Dożywotnia hegemonia jagiellońskich jajogłowych o pezetpeerowskim rodowodzie**

W marcu 2014 w Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie odbył się **Kongres Kultury Akademickiej**, na którym co prawda nie byłem, ale przed wyjazdem na weekend zdążyłem jeszcze obejrzeć transmitowaną przez Internet relację z inauguracji tego wydarzenia zapowiadanego szumnie przez wszystkie możliwe media mainstreamowe.

I oto, co zobaczyłem na ekranie monitora.

Na proscenium, przed świecącym pustkami audytorium ustawiono stół prezydialny nakryty sukmem w kolorze blue-Brussels, za którym zasiadła uniwersytecka starszyzna, a dzięki ugadanemu kamerzyście można było się do woli napatrzeć na pokazywanych we wszystkich możliwych ujęciach trzech tenorów rzeczonyj kongresu, profesorów: Andrzeja Zolla, Piotra Sztompkę i Jana Woleńskiego.

Odebrane w domu wychowanie nie pozwala mi zdradzić wieku tych uczonych, powiem tylko, że w czasie, kiedy owi szacowni nestorzy przychodzili na świat, Adolf Hitler się dopiero szykował do wojny, co studentom niechybnie musi się kojarzyć z zaraniem jurajskiej epoki dinozaurów.

I akurat miałem szczęście trafić na reasumujące pierwszy dzień obrad kongresowych krótkie wystąpienie ministry Nauki i Szkolnictwa Wyższego pani profesor Leny Kolarskiej-Bobińskiej, która muszę sprawiedliwie przyznać wykazała się nie byle, jaką odwagą.

Bo choć każdy student wie, że w Trzeciej RP Uniwersytet Jagielloński utracił praktycznie wszystkie przymioty swej dawnej świetności, to panującym na zasadzie zasiedzenia uczelnianym beneficjentom okrągłego stołu udało się przekuć niegdysiejszy majestat Jagiellońskiej Wszechnicy w złudne przeświadczenie, że to wciąż tak samo renomowana uczelnia, jak kiedyś. A tę ewidentną ściemę uprawiano z zadziwiającym powodzeniem dzięki wprowadzeniu na tejże uczelni systemu feudalnych rządów leciwych i kompletnie oderwanych od racjonalnego postrzegania rzeczywistości świętych krów akademickich o komuszym rodowodzie, którym jak dotąd nikt się podskoczyć nie odważył.

Słowem "*Ordnung muss sein*", albo jak ktoś woli „*poprawność polityczna siłą przewodnią środowiska akademickiego*”.

A jednak ku mojemu zaskoczeniu pani ministra zdobyła się na ullańską śmiałość by przyzwyczajonym do pochlebstw jajogłowym tuzom jagiellońskim, że się tak wyrażę bez obciachu wygarnąć na odlew kilka słów gorzkiej prawdy.

Pani ministra zaczęła od z pozoru niewinnej uwagi, iż nie bardzo podoba jej się naczelne hasło kongresowe „REAKTYWACJA”, które jej zdaniem sugeruje chęć powrotu do praktyk, które wobec wyzwania dnia dzisiejszego kompletnie się zdezaktualizowały.

I zanim zniesmaczeni wypowiedzią ministry Kolarskiej-Bobińskiej nietykalni dotąd jagiellońscy mędrcy zdążyli ochłonać po tym prztyczku, pani ministra przywaliła odłamkowym przeciwpancernym i zerkając kątem oka w stronę stołu prezydialnego wypaliła z grubej rury, że polskie uniwersytety przekształcono ostatnio w kierujące się kulturą korporacyjną przedsiębiorstwa masowego przerobu studentów i, że już najwyższa pora by profesorska starszyzna zrobiła więcej miejsca młodym naukowcom, którzy w przeciwieństwie do starej kardy są otwarci na wyzwania XXI wieku. A na koniec dołała jeszcze oliwy do ognia, iż jej zdaniem to, co stara kadra naukowo dydaktyczna wciąż każe studentom wykuwać na pamięć kompletnie nie ma sensu, gdyż studenci mogą to sobie w kilka sekund wyklikać na swoich laptopach i smartfonach.

Nieulękle wystąpienie minister Kolarskiej-Bobińskiej doprowadziło do furii cichociemnego piesszczocha salonu uniwersyteckiego Krakówka, nietykalnego dotąd akademickiego tuza nad tuzami niejakiego prof. Jana Woleńskiego, któremu jak dotąd nikt się nie odważył wprost powiedzieć (wtajemniczeni

dobrze wiedzą, czemu), co rzeczywiście myśli o trzęsących Uniwersytetem Jagiellońskim jajogłowych matuzalch. Dotknięty do żywego obrosły machem sławy akademik wskoczył na mównicę i przyjąwszy pozę rozjuszonego wołu w typowy dla siebie sposób zaatakował „bezczelną” delegatkę rządu Donalda Tuska i wzorem przewodniczącego Sekuły przemówił do praktycznie pustych krzesel - patrz załączona nad notką galeria fotografii.

Pohukując groźnym basem jak to przemądrzali belfrzy mają zwyczaj czynić przeciągał chmurnie głoski i tak kładł akcenty by upokorzyć zuchwałą ministkę, która łamiąc odwieczne tabu miała czelność zganić poczynania nietykalnych dotąd „autorytetów moralnych” UJ. A na koniec swego wystąpienia pewien rześzystych oklasków zbeształ hardą ministkę za to, co ostatnio wyczynia.

Jednakże ku zdumieniu utytułowanego guru i szacownych mentorów zasiadających za prezydialnym stołem owacji nie było, a mocno przerzedzone audytorium wymownie milczało.

Jak widać nad owładniętym religią lewacką Uniwersytetem Jagiellońskim „różowe słoneczko zaczyna powoli zachodzić za las kalinowy” i pojawia się szansa by symbolami akademickiej wspólnoty stały się w równym stopniu birety, kapelusze kardynalskie i jarmułki, co studenckie czapki.

No cóż. Na Kongresie Kultury Akademickiej ministra Kolarska-Bobińska potwierdziła słusność słów młodego „technokraty” profesora Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie Andrzeja Jajszczyka, który w przeciwieństwie do pohukującego na niego w Gazecie Wyborczej jagiellońskiego „humanisty” Jana Woleńskiego, ma otwartą głowę, bo nie wahał się wypowiedzieć na łamach Gazety Wyborczej, cytując:

„Profesorowie-celebryci wypowiadają się często i chętnie na wiele tematów, ale brak im rygoru intelektualnego, by trafnie wskazywać zagrożenia i jednocześnie praktycznie się im przeciwstawiać. Swobodnie poruszają się po modnych tematach, mając o nich nikłe pojęcie. Zamiast pracować studiować źródła i stawiać śmiało hipotezy, konfrontując je z najtęższymi umysłami świata, swoje kariery budują na publikowaniu felietonów bądź pisaniu po polsku książek, które mało kto czyta. Są skrajnymi indywidualistami, rzadko potrafią działać razem czy sensownie się odnosić do głębszych prac swoich koleżanek i kolegów.

Są jednak chwile, gdy humanistyczne środowisko przemawia jednym głosem – wtedy, gdy czuje zagrożenie utraty dochodów czy przywilejów. Tak było ostatnio, gdy podniesiono wielki krzyk w obronie kształcenia na kierunku filozofia. Nie przypominam sobie, by ci sami ludzie kiedykolwiek upomnieli się o jakość nauczania studentów czy przeciwstawili masowemu przyjmowaniu na uczelnie kogo tylko popadnie („*Polski inteligent tęskni za utopią*”, *Magazyn Świąteczny Gazety Wyborczej*, 15-16 lutego 2014r.)...” koniec cytatu.

A mnie w czasie kongresowego wystąpienia prof. Jana Woleńskiego przypomniało się, jak przed dwoma laty pisałem w notce pt. „jak dzieci we mgle”, że opierając się na własnych obserwacjach środowiska akademickiego, w którym przepracowałem prawie czterdzieści lat jestem skłonny zaryzykować tezę, że obecne pokolenie „60 Plus” jest już mentalnie niereformowalne, bądź reformowalne w stopniu poważnie ograniczonym.

I dlatego właśnie, choć mogłem prosić Rektora o przedłużenie etatu, odszedłem z uczelni na akademicką emeryturę w ustawowym terminie.

Bowiem uważam, iż generacja 60 Plus nie jest już w stanie się zmierzyć z nienotowanym dotąd przyspieszeniem rozwoju cywilizacji, jakie nastąpiło w ostatnich dwudziestu latach i wciąż następuje, gdyż wiek XXI stał się wiekiem ekspansji coraz bardziej doskonałych technik generowania, gromadzenia, przekształcania i udostępniania informacji, a zjawisko, jakim jest Internet nie ma precedensu w historii cywilizacji.

Te nowe warunki pociągają za sobą konieczność zmiany mentalności i przestawienia się na idące z duchem czasu nowoczesne myślenie, kompatybilne z tempem i specyfiką dokonujących się zmian. Niestety, znakomita większość ukształtowanych przez komunę reprezentantów pokolenia „60 Plus”,

*nota bene* wciąż zajmujących na uczelniach większość stanowisk kierowniczo-decyzyjnych, nie nadsza za rozwojem świata nauki, co im jednak nie przeszkadza by się pazurami trzymać uczelnianej pensji, w wielu przypadkach wbrew Ustawie o Szkolnictwie Wyższym.

Wiem, że zaraz spadną na mnie gromy, że mnie zgnoją i oplują, ale ktoś to musi w końcu powiedzieć. Otóż prawda jest taka, że znakomita większość polskich profesorów starszej generacji od dziesiątków lat niewychylających nosa poza progi swoich gabinetów „naukowych” nie zdaje sobie sprawy, że się kompletnie oderwała od otaczającego ich świata, a często „szacowni” profesorowie nie mają błędnego pojęcia, na jakim poziomie robi się obecnie światową naukę i jakich narzędzi do tego używa. Że wielu naszych „uczonych” nie zdaje sobie sprawy, iż jako w ich mniemaniu najwyższej marki specjaliści od czegoś tam, w realiach nowych czasów błędzą, jak dzieci we mgle.

Niestety stare nawyki, jeśli w ogóle można, bardzo trudno zreformować. Bo nasi akademicy starszej generacji od lat chodzą na uczelnię tą samą trasą, a w pracy, w tym samym od niepamiętnych czasów rytmie, każdy ich dzień jest niezmiennie taki sam – a świat bezlitośnie ucieka do przodu.

A nierzadko, Sic! kartki ich wykładowych konspektów są poźółkłe od starości, a jedynym, co ich naprawdę kręci to popisywanie się pseudonaukowym bełkotem na nudnych jak flaki z olejem dętych sesjach PAN i PAU, a także uczestnictwo w uczelnianych spotkaniach towarzyskich przy okazji niepoliczonych nigdy obron prac magisterskich, doktorskich i habilitacyjnych i rytualnych imienin, urodzin i jubileuszy, gdzie można coś na sępa przekąsić i miło pogadać.

I choć w to trudno uwierzyć, takich imprez zdarza się często na uczelniach więcej niż dni w kalendarzu, a znam rekordzistów, którzy przy okazji popularnych imienin potrafią takich jubli obkoczyć kilkanaście dziennie. A nauka? Nie ucieknie przecież. Słowem, raj objawiony i życie lżejsze od snu.

Innym zagadnieniem jest paniczny strach akademickich oldbojów czujących na karku oddech młodych wilków. W efekcie gros „uczonych trzeciego wieku”, którzy o zgrozo wciąż decydują o losach naszych uczelni, bojąc się konkurencji, miast najzdolniejszymi otacza się miernotami, a błyskotliwych i zdolnych z reguły wypycha na margines.

Jaki jest poziom nauki polskiej każdy widzi – koniec czwartej setki w europejskich sondażach.

A dlaczego? Między innymi, dlatego, że dożywotni profesorowie polskich uczelni nie podlegają praktycznie żadnej weryfikacji, choć zdarzają się przypadki, że przychodzą na uczelnię zaledwie dwa trzy razy w roku, żeby za darmo znajomych obdzwonić.

Gorzej, ileż razy widziałem, jak ludzie zajmujący się nauką wykonywali przez całe lata gigantycznie mrówczą pracę kompletnie na darmo, gdyż nikt się nie odważył im tego powiedzieć, a oni nie mieli dość wyobraźni by spostrzec, że to, co robią jest pozbawione sensu, a efekt ich pracy na nic nikomu się nie przyda. Widziałem, jak się męczą, grzęznąc w coraz mniej istotnych dla nauki szczegółach uznając, jakże błędnie to, co robią, za zgłębianie wiedzy. Jeszcze gorzej, w to brnięcie do nikąd wciągają swoich uczniów, którzy wyrastają na podobnych im pozorantów naukowych.

Kolejnym zagadnieniem jest problem zarządzania uczelnią, wydziałem, katedrą bądź zakładem. Niestety, stanowiska wszystkich szczebli struktury uczelnianej są nadal w dziewięćdziesięciu procentach obsadzone przez kompletnie pozbawionych zdolności menadżerskich profesorów starszego pokolenia, którzy do grobowej deski nie ustąpią miejsca młodym.

Nie mniej poważnym problemem są niewymierne szkody wyrządzone przez miernoty naukowe, które za czasów komuny awansowano na uczelniach nie za rzeczywiste osiągnięcia naukowe, lecz za aktywną działalność w szeregach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. To z tej właśnie grupy wywodzą się rzesze profesorów, którzy dzisiaj dzierżą w swoich łapskach kluczowe uczelniane stanowiska „wychowując” swych następców, którym przekazują w spadku mentalność wyzutą z wszelkich zasad etycznie moralnych.

Jednakże, gwoli sprawiedliwości, należy zaznaczyć, że zdarzają się na polskich uczelniach również katedry na prawdziwie światowym poziomie, zarządzane przez otwartych na świat profesorów - lecz niestety, są to wciąż nieliczne odstępstwa od powszechnej reguły.

Nasuwa się, więc logiczny wniosek, że jak powiedziała ministra Kolarska-Bobińska polskimi uczelniami powinni zacząć zarządzać ludzie młodzi. Po pierwsze, dlatego, że z racji wieku nie są skażeni odziedziczonym po komunie strusiowato nielotnym myśleniem, po drugie, że dojrzewali już w dobie Internetu, po trzecie zaś, że w przeciwieństwie do tchórzliwie zachowawczych postaw pokolenia starej generacji, odznaczają się odwagą, świeżym spojrzeniem, umiejętnością podejmowania odważnych decyzji i rozmachem na miarę wyzwań nowych czasów.

Dlatego uważam, iż warunkiem *sine qua non*, żeby nauka polska ruszyła do przodu jest dokończenie „rewolucji” rozpoczętej przez NSZZ „Solidarność”, brutalnie stłamszonej stanem wojennym, a potem zdradzonej przy okrągłym stole - przykro mi to mówić - przy haniebnie biernym przyzwoleniu zdemoralizowanych komuną akademickich środowisk opiniotwórczych, które w imię partykularnych interesów nie sprzeciwiły się, a powinny przecież się sprzeciwić lustracji i do dziś nie zmieniły zdania na ten temat.

I dlatego uważam, że tę „rewolucję”, którą trzeba zacząć od dekomunizacji polskich uczelni są w stanie dokończyć tylko i wyłącznie ludzie młodzi.

Bo młodzi potrafią myśleć niezależnie i nie są wplątani w pajęczynę post-komunistycznych układów i powiązań.

A jak im się uda, pokażą Polsce i Światu, że można raz na zawsze skończyć ze starym myśleniem i postawić na nogi niegdyś renomowane uczelnie.

Tak! Tak! Na polskich uczelniach rozpoczyna się właśnie „rewolucja” młodego pokolenia, które w przeciwieństwie do trzęsących dotąd uczelniami niereformowalnych zgredów stukających w klawiaturę jednym palcem, pisze na komputerze z zamkniętymi oczami, jak Halina Czerna-Stefańska na Steinwayu.

Krzysztof Pasierbiewicz (em. nauczyciel akademicki AGH)